

## IRENA PŁOTNICKA

ur. 1917; Żminne



Miejsce i czas wydarzeń	Głęboki Bród, dwudziestolecie międzywojenne
Słowa kluczowe	Głęboki Bród, Suwalszczyzna, Żminne, dwudziestolecie międzywojenne, dzieciństwo, rodzina, ojciec, matka, edukacja, siostra, życie codzienne, zabawy

### Dzieciństwo przed wojną

Urodziłam się w roku 1917 w miejscowości Żminne, pięćdziesiąt siedem kilometrów od Lublina. Wtedy moi dziadkowie tam mieszkali, mieli ten majątek Żminne i ja tam się urodziłam. Jeszcze rodzice nie mieszkali u siebie, mieszkali ciągle na wsi, dlatego że ojciec był nadleśniczym w Puszczy Augustowskiej. [Ojciec nazywał się] Adamczewski, [mama była z domu] Łubkowska]. U dziadków byłam dosyć krótko, dlatego że ojciec zabrał nas i zamieszkaliśmy nad Czarną Hańczę na wsi, to służbowe mieszkanie [było].

Rodzice sprowadzili z Uniwersytetu Warszawskiego nauczycielkę, która nas uczyła w domu, dobrze nas przygotowała nawet. Te nauczycielki zmieniały się. Miałyśmy jakiś czas taką starszą panią, która miała już – bo ja wiem – ponad siedemdziesiąt lat, ale nie mogła nas uczyć matematyki, bo nie pamiętała, tak że z sąsiedniego seminarium nauczycielskiego przyjeżdżał uczeń na lekcje matematyki. Wtedy uważano, że młody człowiek w jednym pokoju nie może być [z dziewczętami] bez żadnej opiekunki, tak że gdy miał z nami lekcje, ta nasza nauczycielka w tym czasie robiła szydełkiem długi taki szal. I pamiętam, że kiedyś tym szydełkiem zaczęła o głowę i zdarła sobie perukę, bo ona chodziła w peruce. I oczywiście myśmy z całej siły powstrzymywały się, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Tylko raz tak się zdarzyło z panią Eysmont. Uczyłyśmy się wszystkich przedmiotów, jak to było przewidziane w programie. To był najpierw taki program szkoły powszechnej, a potem już starszych [klas], zależy od wieku. I uczyłyśmy się w jednej klasie, dlatego że nauczycielka domowa nie chciała być cały dzień zajęta, chciała mieć trochę czasu dla siebie, więc najpierw z siostrą miała zajęcia, potem ze mną albo razem jednocześnie przerabiałymy, uczyłyśmy się w jednej klasie. Była starsza ode mnie o półtora roku, tak że mogłyśmy się uczyć równolegle, w jednakowej klasie. Myśmy były bardzo żyte z sobą, bardzośmy się kochały obydwie i też razem robiłyśmy różne kawały.

Pobył na wsi był bardzo urozmaicony dla [naszych] dwóch służących, dlatego że jak

były tam manewry, to dużo wojska przyjeżdżało i na werandzie urządzono nawet taką stołówkę dla oficerów. I wtedy Magdalena zakochała się w takim kucharzu, który się nazywał Bednarski, nawet była pewna, że on do niej pisuje listy, a to myśmy z siostrą takie listy [pisały].

W ogrodzie mieliśmy bardzo dużo leszczyn, wystarczyło, że woźny trząśnął tą leszczyną, a sypały się wtedy te orzechy i było słychać taki [odgłos], jakby padał grad. Myśmy mieszkali wtedy zawsze na wsi i wszędzie jeździło się tylko końmi, dlatego że przecież autobusy tą szosą do Augustowa nie chodziły jeszcze. Daleko było bardzo do Augustowa i do Sejna, jakieś piętnaście kilometrów. Rodzice mieli gospodarstwo, tak że były konie i krowy. U nas przeważnie klacze trzymaliśmy, żeby się dochować żrebaka. Były i do pracy, i do wyjazdów. Jeden raz żrebię zamarzyło na śmierć, bo taka strasznie była zimna zima, nawet drzewa pękały. W ogóle tam jest [polski] biegun zimna, na Suwalszczyźnie. Zawsze parą koni się jeździło. Zimą, jak był zamrznięty kanał, to kanałem nawet się jeździło. I tak zamarzał mocno, że nie baliśmy się, że się załamie. W Augustowie mieliśmy znajomych, oni nas odwiedzali i myśmy tam jeździły nieraz. Parobek musiał być do koni, a służące nawet i ze dwie, bo tak: zawsze były konie, przecież nieraz i żrebaki się hodowało, i trzeba było uprawić ten kawałek ziemi, kilkanaście mórg ziemi było do dyspozycji ojca. Ojciec nie bardzo lubił gospodarstwo, wolał się zajmować sprawami lasu. Ojciec kończył akademię leśną w Saksonii, w Tharandzie, doskonale znał język niemiecki. Pochodził z Poznańskiego, matka [pochodziła] z Lubelszczyzny.

To były takie czasy, że nie było takich usprawnień jak teraz. Na przykład pranie odbywało się tylko ręcznie, tak samo prasowanie ręcznie tylko – żelazko było rozgrzewane węglami, które się wkładało w środek, żelazko wyglądało jak zamknięte takie pudełko. Na Suwalszczyźnie, jeśli chodzi o ludność miejscową, to przeważnie była szlachta, więc opowiadano, że jak szlachcic coś przeskrobał, to uciekał w puszcę, bo wtedy już był bezpieczny.

Zawsze [mieliśmy] osobny dom, przeważnie gdzieś w lesie. W razie jakiejś choroby czy jakiegoś ratunku trzeba było jechać aż do miasta i nie raz już było za późno, żeby ratować chorego. Kiedyś do nas przyjechał na takim spienionym koniu przerażony leśniczy, młody człowiek, mówił, że jego służąca chciała popełnić samobójstwo, ale nie otruła się. Nie wiedział, jak ją ratować, a przecież jechać te piętnaście kilometrów do miasta, to jednak już tam było dosyć późno na ratowanie tej dziewczyny. Mamusia radziła, żeby dawać jej mleko. I nie tylko, żeby ona piła, ale żeby robić lewatywy z mleka. A dlaczego ta Andzia [chciała] popełnić samobójstwo? Ona się zakochała w tym leśniczym, byli kochankami, oni się tak żyli. I on powiedział, że niestety będzie musiał ją odprawić, bo wyjeżdża, żeby przywieźć tutaj swoją narzeczoną. I ona się tak przejęła, że musi zerwać z tym leśniczym, że zdecydowała się otruć. Wyleczyła się na szczęście z tego. Wiem, że ta leśniczówka była też nad rzeką Hańczą. Takie piękne kwiaty, dzikie, rosły tam, te żółte irysy, zupełnie nieuprawiane. Pięknie wyglądały. W lesie były wielkie polany, na których rosły sasanki.

Jak myśmy mieszkali w Głębokim Brodzie, to właśnie ta pierwsza posada ojca nad Czarną Hańczą, to nawet nie było studni, nie była potrzebna, bo rzeka miała taki bystry prąd i taką czystą wodę, że wystarczyło brać z rzeki [wodę]. Piękna była okolica, bardzo piękna, ale było niebezpiecznie, bo tam było strasznie daleko do miasta i mamusia starała się, żeby nas przenieśli gdzieś bliżej miasta, żeby było bezpieczniej, bo w razie choroby – ja chorowałam na zapalenie płuc, a potem siostra też chorowała – trudno było o lekarza. Niby przyjechał, ale zawsze już było późno albo i za późno.

[Miałyśmy] bardzo dużo swobody. Nawet gdyby nie to, że ojciec dosłownie zwrócił uwagę, żeśmy mogły się nie raz potopić. [Była] rzeka Netta, która biegła równolegle z kanałem na jednym odcinku, łódki na brzegu, które były w takim złym stanie, nie były przywiązane łańcuchem, tylko tak umieszczone swobodnie [i myśmy nimi pływały] i wiosłowały tyczkami od fasoli. Ojciec kiedyś tam nas zobaczył, bo akurat szedł wtedy do młyna umówić się, kiedy przysłać mąkę, a myśmy były ubrane w zimowe palta na watinie robiono, no i na nogach nie tylko pończochy, ale na zwykłych pończochach takie getry długie. No i ojciec wytłumaczył, że mogłybyśmy się potopić, żeby już tego nie robić. I powiedział, że o tym nie powie mamusi, żeby jej nie niepokoić. I od tej pory myśmy tak nie pływały.

<b>Data i miejsce nagrania</b>	2019-02-27, Lublin
<b>Rozmawiał/a</b>	Agnieszka Piasecka
<b>Redakcja</b>	Justyna Molik
<b>Prawa</b>	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"